

# GUILLAUME MUSSO

TELEFON OD ANIOŁA



ALBATROS

## Prolog

Telefon komórkowy?

Z początku wydawał ci się przedmiotem całkowicie zbędnym, ale przecież nie mogłaś pozostać w tyle za postępem techniki, kupiłaś więc podstawowy abonament i najprostszy model. Wbrew przewidywaniom od razu zaczęłaś go używać. W restauracji, w pociągu czy na tarasie kawiarni prowadziłaś pełne entuzjazmu rozmowy. Okazało się, że możliwość bycia w ciągłym kontakcie z rodziną i przyjaciółmi dodawała ci pewności siebie.

Tak jak wszyscy nauczyłaś się wystukiwać litery na maleńkiej klawiaturze i zaraziłaś się ciągłym wysyłaniem SMS-ów. Tak jak wszyscy zrezygnowałaś z podręcznego kalendarzyka i zastąpiłaś go wersją elektroniczną. W skupieniu wprowadziłaś do pamięci urządzenia numery telefonów znajomych, rodziny i kochanka. Pod zaszyfrowanym hasłem wpisałaś też numery byłych kochanków oraz PIN karty, który zdarzało ci się zapomnieć.

Telefon nie robił najlepszych zdjęć, ale go używałaś. Fajnie było mieć zawsze przy sobie jakieś zabawne zdjęcie i móc je pokazać kolegom w pracy.

Zresztą wszyscy tak robili. Komórka była przedmiotem doskonale dopasowanym do swojej epoki, w której powoli zanikały granice między życiem osobistym, zawodowym i towarzyskim. Przede wszystkim zaś ułatwiała żonglowanie czasem, a w obliczu natłoku zajęć i obowiązków oraz pilnych terminów coraz bardziej go brakowało.

□

Ostatnio zamieniłaś stary model na doskonalszy: nabyłaś małe чудо pozwalające przeglądać e-maile, surfować po internecie i instalować setki różnych aplikacji.

Teraz nie mogłaś się już obejść bez swojej komórki. Była jakby wszczepiona w twój organizm, stała się częścią ciebie, nie rozstawałaś się z nią nawet w łazience czy toalecie. Gdziekolwiek byłaś, co najmniej raz na pół godziny, jeśli nie częściej, sprawdzałaś, czy przyszedł SMS, a może dzwonił kochanek lub przyjaciele... A jeśli twoja skrzynka e-mailowa była pusta, sprawdzałaś wiadomości oczekujące. Tak jak lalka w dzieciństwie, tak telefon komórkowy zapewniał ci poczucie bezpieczeństwa. Gładki błyszczący ekran uspokajał i hipnotyzował. Dodawał pewności siebie i umożliwiał natychmiastowy kontakt z innymi, a więc otwierał niezliczone możliwości...

□

Któregoś wieczoru po powrocie do domu sięgnęłaś do jednej kieszeni, do drugiej, zajrzałaś do torby i okazało się, że komórki nie ma. Zgubiłaś ją? Ktoś ci ją ukradł? Nie, to niemożliwe! Przeglądałaś wszystko jeszcze raz, bez rezultatu. Może w biurze... Ale wychodząc z biura, miałaś ją ze sobą, bo pamiętasz, że używałaś jej w windzie. Z pewnością

miałaś ją jeszcze w metrze i w autobusie.

Psiakość!

Najpierw byłaś zła, że ją zgubiłaś, ale wkrótce przypomniałaś sobie, że — na szczęście! — wykupiłaś ubezpieczenie od kradzieży, zguby i zniszczenia, a masz u swojego operatora tyle uzbieranych punktów lojalnościowych, że jutro będziesz mogła kupić sobie nowy telefon, ten najnowocześniejszy, dotykowy.

Dlaczego więc nie udało ci się zasnąć, mimo że była już trzecia w nocy?

□

Cicho wyślizgnęłaś się z łóżka, żeby nie obudzić mężczyzny, który spał obok ciebie.

W kuchni sięgnęłaś na najwyższą półkę i wyciągnęłaś napoczętą paczkę papierosów, którą schowałaś tam „na czarną godzinę”. Wypaliłaś jednego, a niech tam! Wypiłaś kieliszek wódki.

Cholera! — przeklęłaś w myślach.

Usiadłaś na krześle skulona z zimna. Otworzyłaś okno, żeby wyleciał dym...

Co miałaś w tym cholernym telefonie? Kilka filmików wideo, z pięćdziesiąt zdjęć, listę odwiedzanych stron internetowych, swój adres (w tym kod do bramy), adres twoich rodziców, numery telefonów ludzi, a niektóre nie powinny tam się znaleźć, jakieś wiadomości, po których przeczytaniu można by pomyśleć, że...

Przestań, to paranoja! — próbowałaś przywołać się do porządku.

Zaciągnęłaś się papierosem i wypiałaś łyk wódki.

Właściwie nie było tam niczego kompromitującego, ale

wiadomo, że pozory mogą mylić.

Najbardziej bałaś się, że twój telefon dostanie się w ręce kogoś ci wrogiego.

Zaczęłaś żałować, że zachowałaś niektóre zdjęcia, nie mówiąc już o e-mailach czy SMS-ach. Przeszłość, rodzina, pieniądze, seks... Gdyby się ktoś uparł, mógłby cię załatwić. Po co przechowywać te rzeczy, po co? Ale za późno na żale.

Ach, jak zimno! Wstałaś, by zamknąć okno. Z czołem przyklejonym do szyby spoglądałaś na mieszkania, w których wciąż świeciło się światło. Czy na drugim końcu miasta jakiś facet nie wpatrywał się przypadkiem w ekran twojego telefonu, delektując się eksploracją ciemnych stron twego życia? A może nawet przeszukał aparat, by odkryć twoje kompromitujące tajemnice?

Część pierwsza

Kot i mysz

# 1

## Zamiana

*Niektórym ludziom jest pisane się spotkać.  
Niezależnie od tego, gdzie się znajdują czy  
dokąd się wybierają, któregoś dnia na siebie  
wpadną.*

CLAUDIE GALLAY

**Nowy Jork  
Lotnisko JFK  
Tydzień przed Bożym Narodzeniem**

### ONA

— A potem?

— Potem Raphaël wręczył mi pierścionek z brylantem od Tiffany’ego i poprosił, żebym została jego żoną.

Ze słuchawką przyklejoną do ucha Madeline przechadzała się tam i z powrotem przed wysoką oszkloną ścianą, za którą widać było pasy startowe. Pięć tysięcy kilometrów stąd, w małym mieszkanku na północy Londynu, jej najlepsza przyjaciółka słuchała z zapartym tchem dokładnego sprawozdania z romantycznej wyprawy do Nowego Jorku.

— Naprawdę się postarał! — osądziła Juliane.

— Weekend na Manhattanie, pokój w Waldorf-Astorii, przejażdżka dorożką, oświadczyły jak za dawnych czasów...

— Dopracowany był każdy szczegół, tak jak w filmie — stwierdziła szczęśliwa Madeline.

— Czy przypadkiem nie było to zbyt perfekcyjne?  
— zaczęła się z nią drażnić Juliane.

— Możesz mi powiedzieć, ty snobko, co to znaczy: „zbyt perfekcyjne”?

Juliane zaczęła się niezręcznie tłumaczyć:

— Chcę tylko powiedzieć, że zabrakło tu niespodzianki. Nowy Jork, Tiffany, przechadzka w prószącym śniegu, ślizgawka w Central Parku... To takie przewidywalne, takie banalne...

— O ile dobrze pamiętam, Wayne oświadczył ci się po wieczorze spędzonym na picciu w pubie. Był zalany w pestkę i zaraz po tym, jak wybełkotał słowa oświadczyn, musiał lecieć do toalety, żeby zwymiotować. Tak było? — odgryzła się Madeline.

— Dobra, wygrałeś! — Juliane się poddała.

Madeline się uśmiechnęła. Idąc wolnym krokiem, powoli zbliżała się do strefy odlotów, wypatrując w gęstym tłumie sylwetki Raphaëla. Był początek ferii bożonarodzeniowych i na lotnisku wrzało jak w ulu. Jedni jechali spędzić święta z rodziną, inni wybierali się na koniec świata, do ciepłych krajów, byle dalej od nowojorskiej słoty.

— Ale nie mówiłaś, co mu odpowiedziałaś — odezwała się Juliane.

— Chyba żartujesz?! Oczywiście, że powiedziałam: „Tak!”.

— Od razu się zgodziłaś? Nie podręczyłaś go trochę?

— Dlaczego miałabym go dręczyć? Juliane, mam prawie



trzydzieści cztery lata! Nie wydaje ci się, że dość już się naczekałam? Kocham Raphaëla, spotykamy się od dwóch lat, chcemy mieć dziecko. Za kilka tygodni wprowadzimy się do domu, który wspólnie wybraliśmy. Po raz pierwszy w życiu czuję się naprawdę bezpiecznie. Jestem bardzo szczęśliwa.

— Mówisz tak, bo on stoi gdzieś obok, prawda?

— Ależ skąd! — Madeline się roześmiała. — Poszedł nadać bagaże. Mówię tak, ponieważ to właśnie myślę!

Przystanęła przed kioskiem z gazetami. Z tytułów w ciasno ułożonych czasopiśmie wynikało, że świat chyli się ku upadkowi i że od dawna żyjemy na kredyt zaciągnięty na poczet niepewnej przyszłości wobec kryzysu ekonomicznego, bezrobocia, skandali politycznych, desperacji ludzkiej i katastrof ekologicznych.

— Nie boisz się, że życie z Raphaëlem okaże się nudne?  
— nie dawała za wygraną Juliane.

— Nawet jeśli masz rację, to co z tego? — odrzekła Madeline. — Chcę mieć koło siebie kogoś solidnego, lojalnego, kogoś, komu mogę zaufać. Rzeczywistość jest niepewna, nie przynosi nam oparcia ani stabilizacji. Ja chcę mieć oparcie i stabilizację w domu, rozumiesz?

— Hm... — chrząknęła Juliane.

— Nie ma żadnego „hm”, Juliane. Możesz zacząć szukać sukni dla drużyny.

— Hm... — powtórzyła młoda Angielka, ale tym razem po to, aby zamaskować wzruszenie.

Madeline popatrzyła na zegarek. Za jej plecami szare samoloty oczekiwały w kolejce na pozwolenie startu.

— Dobra, idę, mój samolot startuje o wpół do szóstej, a mojego... męża jak nie ma, tak nie ma.

— Twojego przyszłego męża! — poprawiła ją z uśmiechem Juliane. — Kiedy znów przyjedziesz do mnie do Londynu? Może w ten weekend?

— Bardzo bym chciała, ale to niemożliwe. Wylądujemy w Paryżu bardzo wcześnie. Ledwo mi wystarczy czasu, żeby wpaść do domu, wziąć prysznic i zdążyć do pracy...

— Nie można powiedzieć, żebyś leniuchowała!

— Juliane, prowadzę kwiaciarnię! Boże Narodzenie to okres największych zamówień!

— Spróbuj przynajmniej przespać się w podróży.

— Na pewno tak zrobię! Zadzwoń do ciebie jutro!

— obiecała przyjaciółce Madeline i się rozłączyła.

□

## ON

— Nie upieraj się, Francesco! Nie ma mowy o żadnym spotkaniu!

— Jestem niecałe dwadzieścia metrów od ciebie, stoję pod ruchomymi schodami...

Jonathan zmarszczył brwi. Ze słuchawką przy uchu podszedł do balustrady i spojrzał w dół. Zobaczył młodą brunetkę o twarzy madonny, która mówiła coś do słuchawki, ściskając za rękę dziecko opatulone w za dużą budrysówkę. Kobieta miała długie włosy, dżinsy biodrówki, puchową, wciętą w talii kurtkę i markowe okulary przeciwsłoneczne w szerokiej oprawie, skutecznie zasłaniające połowę twarzy.

Jonathan pomachał ręką w kierunku swego syna, który nieśmiało oddał mu pozdrowienie.

— Przyślij mi Charly'ego i spadaj! — warknął na nią.

Za każdym razem, kiedy widział swoją byłą żonę, cierpiał

i ogarniała go złość. Nie umiał opanować tych uczuć. Patrzył teraz na nią posepnie, wściekły z bezsilności.

— Nie wolno ci tak do mnie mówić! — zaprotestowała kobieta. Mówiła z lekkim włoskim akcentem.

— Nie waż się mnie pouczać! Wybrałaś i teraz ponosisz konsekwencje tego wyboru! — wybuchnął Jonathan do słuchawki. — Zdradziłaś swoją rodzinę, Francesco! Zdradziłaś mnie, zdradziłaś Charly'ego!

— Charly'ego do tego nie mieszaj!

— Jak mam go nie mieszać? Przecież to on cierpi najbardziej! To przez twoje wygłupy widzi swojego ojca tylko kilka tygodni w roku!

— Tak mi przyk...

— A samolot? — przerwał jej podniesionym głosem. — Mam ci przypomnieć, dlaczego Charly boi się sam lecieć samolotem, przez co muszę telepać się przez cały kraj samochodem za każdym razem, kiedy on ma ferie szkolne?

— To nie nasza wina, Jonathanie... Takie jest życie. Jesteśmy dorośli, ty i ja. To nie jest tak, że z jednej strony jestem ja, ta zła, a z drugiej ty, ten dobry.

— Sędzia był innego zdania... — zauważył Jonathan, nagle zmęczony. Rozwód orzeczono z winy jego byłej żony.

Zamyślony popatrzył na pas startowy. Było dopiero wpół do piątej, a już zapadał zmrok. Na oświetlonym asfalcie długa kolejka wielkich odrzutowców czekała na znak z wieży kontrolnej, żeby unieść się w powietrze i polecieć do Barcelony, Hongkongu, Sydney, Paryża...

— Skończmy tę rozmowę — powiedział. — Szkoła zaczyna się trzeciego stycznia, więc przywiozę ci Charly'ego dzień wcześniej.

— Dobrze — odrzekła Francesca. — Ostatnia rzecz:

kupiłam mu komórkę. Chcę być z nim cały czas w kontakcie.

— Chyba żartujesz! — zaprotestował Jonathan. — Ma dopiero siedem lat, jest za mały na telefon.

— To kwestia dyskusyjna — odrzekła Francesca.

— Jeśli to sprawa sporna, to nie powinnaś sama decydować. Może później, a na razie zabieraj ze sobą tę komórkę i wyślij wreszcie dziecko do mnie!

— Niech będzie, jak chcesz... — powiedziała cicho Francesca.

Jonathan wychylił się i zmrużył oczy. Zobaczył, jak Charly wręczył Francesce mały kolorowy przedmiot. Potem chłopiec ucałował matkę i niepewnym krokiem wszedł na ruchome schody.

Jonathan przepchnął się między ludźmi i podszedł do synka.

— Cześć, tato!

— Cześć, kolego! — powiedział i chwycił go w objęcia.

□

## ONI

Madeline szybkim krokiem mijała wystawy butików strefy bezcłowej, wystukując na klawiaturze komórki prawie na ślepo odpowiedź Raphaëłowi. Jej narzeczony nadał już walizki, ale teraz stał w kolejce do punktu kontroli bezpieczeństwa. Madeline proponowała mu, żeby się spotkali w kafeterii.

— Tato, jestem trochę głodny. Czy możesz mi kupić *panino*? — spytał grzecznie Charly.

Przechodząc przez labirynt ze szkła i stali, który prowadził do strefy odlotów, Jonathan trzymał rękę na ramieniu Charly'ego. Nienawidził lotnisk, zwłaszcza w tym okresie roku — Boże Narodzenie i lotniska kojarzyły mu się z ponurymi okolicznościami, w których dwa lata wcześniej dowiedział się o zdradzie żony — ale, zadowolony ze spotkania z synkiem, chwycił dziecko w pasie i podniósł.

— *Panino* dla młodego człowieka, raz!  
— wykrzyknął, skręcając do kafeterii.

Stoliki w Bramie do Nieba, największej kafeterii terminalu, ustawione były wokół atrium, pośrodku którego znajdowała się szeroka lada pełna specjalności kulinarnych z różnych krajów.

Co mam wybrać, ciastko czekoladowe czy kawałek pizzy? — zastanawiała się Madeline, patrząc na bufet. To pewne, że najzdrowszy byłby jakiś owoc, ale była głodna jak wilk. Postawiła na tacy ciastko, które odłożyła, gdy tylko odezwała się jej nowa komórkowa aplikacja Jiminy Cricket, podając liczbę kalorii. Zawiedziona sięgnęła do wiklinowego kosza po jabłko, zamówiła herbatę z cytryną i podeszła do kasy.

Ciabatta, pesto, plasterki suszonych pomidorów w oliwie, szynka parmeńska i mozzarella — Charly miał pełne usta śliny, kiedy patrzył na swoją włoską kanapkę. Od małego towarzyszył ojcu na zapleczach restauracji, co rozwinęło w nim zamiłowanie do

smacznego jedzenia i ciekawość odkrywania nowych smaków.

— Uważaj, nie wywróc jedzenia! — zwrócił mu uwagę Jonathan po zapłaceniu rachunku w kasie.

Chłopczyk kiwnął głową i zacisnął rączki na brzegu tacy, starając się utrzymać w równowadze butelkę wody i kanapkę.

W restauracji było pełno ludzi. Owalna sala miała przeszkłone ściany, przez które rozciągał się widok bezpośrednio na pasy startowe.

— Tatusiu, gdzie siadamy? — spytał Charly, czując się zagubiony pośród tłumu podróżnych.

Jonathan popatrzył nerwowo na gęsty tłum przepychający się między krzesłami. Najwyraźniej nie było wolnych stolików. Jednak po chwili, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zwolnił się stolik tuż przy szklanej ścianie.

— Ster w prawo, majtku! — rzucił Jonathan, puszczając oko do syna.

Kiedy przyspieszył kroku, zadzwoniła jego komórka. Zawahał się. Jedną ręką ciągnął walizkę na kółkach, w drugiej trzymał tacę z jedzeniem. Spróbował niezręcznie wydobyć aparat z kieszeni marynarki, ale...

Ależ tłum! — zmartwiła się Madeline na widok przepelnionej restauracji. Chciała chwilę odpocząć przed lotem, a tu wszystkie stoliki zajęte!

Aj! — prawie krzyknęła, kiedy jakaś nastolatka, nie zważając na nic i na nikogo, nastąpiła jej na nogę i nawet nie przeprosiła.

Cholerna smarkata! — pomyślała, rzucając jej pełne nagany spojrzenie, na które dziewczyna odpowiedziała dyskretnie, acz jednoznacznie wystawionym w górę środkowym palcem. Madeline nie zdążyła się zdenerwować tym ordynarnym zachowaniem, bo w tej samej chwili zwolnił się stolik tuż przy szklanej ścianie. Przyspieszyła kroku, żeby zdobyć to cenne miejsce. Była zaledwie trzy metry od celu, kiedy z torebki dobiegł ją dźwięk wibrującej komórki. Och, nie teraz! — pomyślała. Postanowiła nie odbierać, ale potem zmieniła zdanie: to z pewnością Raphaël, który jej szuka. Niezręcznie chwyciła tacę jedną ręką i myśląc o tym, jak ciężki jest stojący na niej czajniczek z herbatą, zaczęła drugą grzebać w torebce między ogromnym pękiem kluczy, terminarzem i zaczęętą powieścią. Zaczęła robić dziwne ruchy, żeby móc uchwycić telefon i podnieść go do ucha, kiedy...

□

Madeline i Jonathan wpadli na siebie z impetem. Wszystko, co stało na obydwu tacach — czajniczek z herbatą, jabłko, kanapka, butelka coca-coli, kieliszek wina — pofrunęło w powietrze i z hałasem spadło na podłogę.

Przestraszony Charly upuścił swoją tacę i zaczął płakać.

Co za kretynka! — zdenerwował się Jonathan, z trudem podnosząc się z posadzki.

— Nie może pani uważać?! — krzyknął.

Co za idiota! — zdenerwowała się Madeline, uświadamiając sobie, co się stało.

— Bo to moja wina, tak?! To raczej pan powinien

uważać! — wykrzyknęła, wiedząc, że najlepszą obroną jest atak. Podniosła z podłogi telefon, torebkę i klucze.

Jonathan pochylił się ku przestraszonemu synkowi, żeby go uspokoić, i podniósł kanapkę w celofanowym opakowaniu, butelkę wody i swoją komórkę.

— Ja pierwszy zauważyłem ten stolik! — oburzył się. — Już prawie siedzieliśmy, kiedy nagle zwała się pani na nas jak meteoryt z kosmosu...

— Chyba pan żartuje?! To ja pierwsza go zauważyłam! Złość podkreśliła jej angielski akcent, do tej pory niezauważalny.

— Tak czy inaczej, pani jest sama, a ja mam pod opieką dziecko.

— Ładne mi usprawiedliwienie! Dlaczego niby fakt posiadania dzieciaka daje panu prawo atakowania mnie... I jeszcze zniszczył mi pan bluzkę! — dodała Madeline z żalem, zauważając z przodu wielką plamę z czerwonego wina.

Speszony Jonathan pokręcił głową i wzniosł oczy do nieba. Chciał zaprotestować, ale Madeline była szybsza.

— A poza tym wcale nie jestem sama! — wykrzyknęła, zauważając Raphaëla.

Jonathan wzruszył ramionami i wziął Charly'ego za rączkę.

— Chodź, pójdziemy gdzie indziej... Idiotka! — rzucił, wychodząc z restauracji.

□

Samolot linii Delta, lot numer 4565 do San Francisco, wystartował z Nowego Jorku o siedemnastej. Jonathan tak się cieszył ze spotkania



z synem, że czas minął mu bardzo szybko. Od chwili kiedy jego rodzice się rozeszli, Charly chorobliwie bał się latać samolotem. Nie był w stanie podróżować sam, nie umiał też zasnąć podczas lotu. Tak więc przez siedem godzin podróży ojciec z synem cały czas rozmawiali, opowiadając sobie różne śmieszne historie, a także obejrżeli po raz dwudziesty na ekranie laptopa *Zakochanego kundla*, delektując się lodami Häagen-Dazs w maleńkich pojemniczkach. Do takiego deseru mieli prawo tylko pasażerowie biznes class, ale wyrozumiała stewardesa, którą rozczuliła twarzyczka Charly'ego i niezręczny wdzięk jego tatusia, z prawdziwą przyjemnością złamała tę zasadę.

Samolot linii Air France, lot numer 29, opuścił lotnisko JFK o wpół do szóstej. W ciszy i komforcie biznes class — Raphaël faktycznie nie robił niczego połowicznie — Madeline włączyła aparat fotograficzny i poszukała zdjęć z nowojorskiej eskapady. Przytuleni do siebie z satysfakcją oglądali uwiecznione w aparacie cyfrowym chwile z tej prawie poślubnej podróży. Potem Raphaël zapadł w drzemkę, a Madeline obejrzała po raz dziesiąty wybraną z listy propozycji linii lotniczych starą komedię Lubitscha *Sklep za rogiem*.

Dzięki różnicy czasu nie było nawet dziewiątej wieczór, kiedy samolot Jonathana dotarł do San Francisco.

Wreszcie uspokojony Charly zasnął na rękach ojca, gdy tylko wyszli z samolotu. Jonathan zaczął wypatrywać swego przyjaciela Marcusa, z którym prowadził mały francuski bar w samym centrum North Beach. Marcus miał po nich wyjechać. Jonathan stanął na palcach, żeby spojrzeć ponad głowami ludzi.

— No cóż, zdziwiłbym się, gdyby ten luzak zjawił się tu punktualnie! — mruknął.

W końcu postanowił sprawdzić, może ma jakąś wiadomość od przyjaciela na komórce. Gdy tylko wyłączył tryb samolotowy, na ekranie pojawił się długi SMS.

Witaj w Paryżu, kochanie! Mam nadzieję, że wypoczęłaś podczas lotu i że Raphaël zbytnio nie chrapał ;-) Przepraszam za to, co Ci nagadałam. Naprawdę bardzo się cieszę, że wychodzisz za mąż i że wreszcie znalazłaś mężczyznę, który uczyni Cię szczęśliwą. Obiecuję, że potraktuję swoją rolę druhny z powagą i szacunkiem! Twoja wierna przyjaciółka,  
Juliane

Co to za bzdury?! — zdziwił się Jonathan, czytając wiadomość jeszcze raz. Jakiś głupi żart Marcusa? Po chwili jednak zaczął oglądać uważnie komórkę: tak, to taki model jak jego, ten sam kolor, ale... to cudzy telefon! Szybki rzut oka na pocztę elektroniczną uświadomił mu, że aparat należy do

niejakiej Madeline Greene, zamieszkałej w Paryżu.

Cholera! To telefon tej kretynki, która wpadła na mnie na lotnisku w Nowym Jorku! — zaklął w myślach.

Madeline popatrzyła na zegarek, tłumiąc ziewnięcie. Wpół do siódmej rano. Lot trwał niewiele dłużej niż siedem godzin, ale z powodu różnicy czasu samolot wylądował w Paryżu w sobotę rano. Roissy budziło się pospiesznie do życia. Tak jak w Nowym Jorku mimo wczesnej pory i tu było pełno wczasowiczów oczekujących w hali odlotów.

— Jesteś pewna, że chcesz iść dzisiaj do pracy?  
— spytał Raphaël, kiedy stali przed pasem transmisyjnym, czekając na walizki.

— Oczywiście, kochanie! — odpowiedziała Madeline, włączając komórkę, żeby sprawdzić pocztę. — Założę się, że mam już mnóstwo zamówień!

Najpierw wysłuchała swojej automatycznej sekretarki, na której jakiś zupełnie nieznaną jej zaspany głos z zaciągającym akcentem zostawił dziwną wiadomość:

*Witaj, Jon, tu Marcus. Ee... Mam mały kłopot z samochodem, wycieka olej z czwórki... Dobra, wyjaśnię ci później. Chcę tylko powiedzieć, że pewnie się trochę spóźnię. Wybacz...*

Co to za historia? — zdziwiona Madeline wyłączyła sekretarkę. Czyżby ktoś pomylił numery? Hm...

Zaczęła przyglądać się swojemu telefonowi. Ta sama marka, ten sam model, ale... to nie była jej komórka.

— Cholera! — wykrzyknęła zdenerwowana.  
— To telefon tego idioty, który wpadł na mnie na lotnisku w Nowym Jorku!